

Wszystko jest brzegiem

Alles ist Ufer. Ewig ruft das Meer –

Malowana szafa z palisandru, w której się zadomowiłam, ma cztery ściany i sufit. Niczego tu nie brakuje: kufer, który wezmę nad morze, czarna kawa, stary pierścionek z szafirowym oczkiem i tabletki na sen. Siedzę przygarbiona z laptopem na kolanach, piętro niżej przechodzi jakaś rewolucja. Z półki, na której kurzą się długopisy, piloty od telewizora i gazety, zdejmuję notes: dwunasta zero dwie. Kwadrans później niż wczoraj, dwie minuty wcześniej niż przedwczoraj. Zbieram resztki sił w lewej dłoni, na każdym palcu jakby dziesięć mosiężnych odważników, i próbuję domknąć drzwi, zostaje tylko smużka słabego światła. Wkładam do uszu zatyczki. Deszcz stuka w drewno, ja w klawisze, cudze słowa odrywają mnie od własnych myśli. Zawartość uszczerbionej filizanki nadal drży.

Przez szparę w drzwiach wpada morska bryza. Wychodzę na balkon i przykładam muszlę do ucha. Zawsze miałam skłonność do zanurzania się w sobie, jakbym wpadała do bagna. Życie zawsze było terenem podmokłym. Daj kroka – tak pamiętam pierwsze spotkanie z wodą, kiedy po deszczu wyrosło na naszej ulicy rozległe jezioro. Daj kroka, mówiła babcia, zupełnie jakby dodatkowa sylaba miała ów krok przedłużyć, pomóc mi przejść na drugą stronę.

Chmara drzew oznaczała dla mnie obietnicę morza. Tylko babcia znała punkty kontrolne naszej nadbałtyckiej odysei, ja dreptałam obok. Sosny podszeptowały mi drogę, ale chyba nie do końca je rozumiałam, czułam pewnie, że to nie one będą mnie osłaniać. Rozpościerałyśmy mury obronne, parawan w kwiaty, który miał mnie chronić od wiatru. Nie tędy droga. Obserwowałam fale, spod rzęs, spod białego kapelutka, bratałam się z horyzontem. Szkoda, że nikt nie zapisał tych rozmów. Składałam ofiarę, zagrzebując stopy w piasku. Przyjemnie ciążył. Przez całe życie spłacam dług. Zbierałam kamyki, które, jak twierdziła babcia, przynosiły pecha, a pecha nie przynosi się do domu, sam przyjdzie. Zbierałam też szyszki pod płótem i parę kroków dalej wyrzucałam, żeby przypadkiem nie naruszyć letniskowego ekosystemu. Siadałam na huśtawce, w sąsiedztwie kory, igieł i odprysków zielonej farby, mała adepta ruchu wahadłowego. Ktoś pytał, czy nie jestem smutna. Nie byłam. Patrzyłam do siebie.

Czynię przygotowania. W kantorze wymieniam złotówki na nadmorską walutę, piórę trzy najlepsze sukienki i rozwieszam na sznurku. Cienka, wysłużona nitka ledwie wytrzyma pod ciężarem wilgotnej tkaniny. Mogłoby się здаwać, że łatwo zrzucić z siebie zbędny balast – tak jak zrzuca się worki z piaskiem podczas lotu balonem, drobinki kurzu z półki, marynarkę w pół drogi między drzwiami a łóżkiem. Kiedy przyjadę nad morze,

wszystkie sukienki będą leciutkie. Przekroczę próg, spódnica nasiąknie i powoli zacznie mi ciążyć. Będę patrzyła, jak falbany wokół łapią rytm, opadają i znów się unoszą, jak osiadają na nich glony. Tymczasem naprawiam sznur pereł, jedna po drugiej, mam już prawie wszystkie. W kącie znajduję trzy kolejne, łączę ze sobą końce nitki, zanim jednak udaje mi się zrobić supeł, kaskada bieli spływa na dno szafy. Szanuję jej wolę, pozwalam stadu znów się rozpiechnąć. Siadam do igły i reperuję naderwany rękaw. W niektórych oczach – klarują igły, żeby nam obu robota szła przyjemniej – dostrzec można głębię szczególnego rodzaju. Tajemnicę ciemnej toni, przyciajoną, która, choć go nie widać, skrywa cały osobny świat, całutką Atlantyde. Chyba zawsze umiałam stosunkowo szybko wyniuchać swoich.

Teraz porządk. Hałas odkurzacza musiał dziś pozostać w zamknięciu, więc garbię się nad zmiotką i szufelką. Życie jest jak próba przejścia po kamieniach przez strumyk, myślę podczas mycia garów. Kamienie są śliskie, odległości między nimi – zbyt duże. Zazwyczaj do przeskoczenia, ale takie, żeby za każdym razem człowiek nie był pewien, czy mu się uda, czy nie ześlizgnie się w ostatniej chwili i nie porwie go nurt. A może w tym akurat miejscu woda sięga tylko do kostek? Kto wie.

Patrzę przez okno pociągu na wykarczowany las, parę kilometrów za Łławą. Wokół grupka starszych kobiet, wypieki na twarzy i miny jak na zielonej szkole. Naprzeciwko mnie pani Ela, herszt bandy, wyciąga z torby długopis, krzyżówki i foliówkę pełną czereśni. Nagle na cały przedział rozkrzypia się Amy Winehouse, akrylowe pazurki w odcieniu, który niegdyś zwano barbie różem, odbierają telefon: siema. Teraz o pogodzie i o tym, że ktoś ma nowego męża, a kto inny starą żonę. Na rozkładanym stoliku zdążyła sobie uwić prowizoryczne gniazdko: pokrowiec na okulary *super babci*, pisownia rozłączna, telefon z dyndającym sznurem koralików, które brzęczą w duecie z bransoletami na jej nadgarstku, suchy prowiant. Częstuje czereśniami pozostałe członkinie trupy, po czym dyskretnie, acz gestem nieznoszącym sprzeciwu, wskazuje kubeczek po jogurcie, do którego należy wypłukać pestki.

Sopockie uliczki toną w deszczu. Można by wypożyczyć łódkę i unosić się nad brukiem w dół Monte Cassino. Cała wstecz. Minęło już trochę czasu, odkąd potrafiłam lewitować. Pamiętam dzień, w którym przyprowadziłam ją tu po raz pierwszy, wieczór właściwie, wtedy też padało. Zeszliśmy po kamiennych schodkach, powoli i ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, robiło się coraz ciemniej i ciemniej. Nie odstąpiłabym tego miejsca przed pierwszą lepszą, ani przed drugą nawet, miałam wrażenie, że wpuszczam ją do wewnątrz. Przynajmniej do przedśionka. Musiałam mieć pewność, że ten, kto tu wchodzi, potrafi się zachować w gościach, że – nawet jeśli legitymuje się fałszywym dowodem – umie szanować ciszę. Ona umiała.

Oprowadzałam ją po sobie. Witryna z porcelaną, każda rzecz od innego kompletu, ślimaczy piec kaflowy, abażury, lichtarze i świece. Dobrze mieć kilka źródeł światła. Meble i bibeloty, sztukateria, mosiądz i kurz. Na pierwszy rzut oka – zbieranina, montażyk przypadków. Na drugi albo trzeci – widać było, że każdy przedmiot ma swoje miejsce, które zajmuje tak stanowczo i dostojnie, jakby stał tu od wieków. Narysuj mnie,

powiedziałam. Wzięła węgiel, szkicowała zapamiętałe, on ciężył jej w dłoni, zwodził, wytyczał ścieżki. W tym miejscu rządziły przedmioty. Co się potem z nimi robi? Ze śladem węgla na kartce, z lusterkiem, ze swetrem, który pachnie perfumami, a może wcale nie pachnie, to tak jak z muszlą, do której naiwnie przykładą się ucho, co z kubkiem, porcelanową figurką. Co potem.

W nikim nie umiałam przejrzeć się tak jak w morzu. Nigdy, w żadnym lustrze moje odbicie nie było równie wyraźne i stabilne. Siadam, patrzę przed siebie, ponad horyzont, ale pustym wzrokiem, jakby ten falujący portal, on jeden tylko, mógł mnie zaprowadzić do środka. Woda rumieni się i różowieje, jak chciałabym wierzyć, pod moje dyktando. Bzdura, najwyżej coś jej podszeptnę, może usłyszysz. Obie po cichu szykujemy się na zmrok. Łączy nas komitywa mądrości, falująca zmowa. Róże i turkusy, śmierdzące rybami, woda subtelnie wykańcza bielą. Zawsze podziwiałam jej talent malarski, wrodzoną władzę nad barwą, choć nie była ich, władzy ani barwy, świadoma. A może to nie brak świadomości, tylko turma i zarazem dobrodziejstwo rytuału ćwiczonego od lat. Morze od wieków przecież doskonalili się w tym demiurgicznym rzemiośle. Niczym jest przy tym nasza wiara w jakiś żywocik wieczny.

Zamieniam się w słuch. Pobieram nauki, chociaż w pobliżu nie ma żadnego pióra, kajetu ani belfra. Może piórko mowy. Stara klepsydra, która stała na regale w mieszkaniu dziadków, uczyła mnie spokoju, wsłuchiwałam się w piasek wędrujący w dół. Gdyby chciał, na pewno znalazłby sposób, żeby uciec. On jednak nie uciekał, tylko kursował po ścieżce, na pozór usłudźnie i bez namysłu, ale jestem przekonana, że ten szczególnie rodzaj spokoju, pełen mądrości, był właśnie po jego stronie. Wolność braku wyboru. Wyzwolenie rytuału.

Słońce znika za linią sosen, toń traci rumieńce i staje się jednolita. Koniec schadzki. Otrzepuję spódnicę, mamrocę coś na do widzenia i ruszam w kierunku wyjścia numer trzydzieści dwa. Pod stopami piasek, najpierw mokry, później suchy, potem drewniane deski. Tylko się nie odwracaj, nie odwracaj, powtarzam w myślach mantrę. Gdybym się odwróciła, morze by zniknęło. A tak – będę mogła tu wrócić. Mam nadzieję, że je zastanę. Tuż po zachodzie woda zaczyna błędnąć, jakby zamierzała zlać się z niebem, zaraz fale rozmyją linię horyzontu, chmury obniżą się trochę i będą dryfować po tafli. Już zaraz.

Cała wstecz. Wbiłam wzrok w sierpniowe wydmy, które szarzały powoli. Mówiłam ci, dlaczego tak lubię dzikie róże? Dzieją się na nich wszystkie stadia rozwoju naraz, jedna faza procesu przy drugiej. Młode listeczki, trochę bardziej rozwinięte, obok pąki i kwiaty, opadające płatki, krągłe owoce. Setki maluszków cykli, a równie ważnych. Każdy skupiony na własnym, ale z pełną szacunkiem świadomością innego. Mój ulubiony spektakl. Chociaż stałam odwrócona, usłyszałam, jak jej oczy mówią: chciałabym, żebyś mnie kochała tak jak tę wodę. Nie próbowałam zaprzeczać.

Stoję na brzegu, przypuszczalnie jednym z dwóch. W pobliżu nie czeka żadna łódź, zresztą i tak skończyły mi się drobnaki. Jakiś inspicjent zaraz chwyci za złoty sznur, żeby zaciągnąć kurtynę z grubego weluru. Właśnie tak wyobrażam sobie koniec.



Paula Meehan i David Malcolm w Domu Literatury w Gdańsku podczas Festiwalu Between.Pomiędzy 2026. Fot. Łukasz Bień (CASI D UG)